



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Praktem od Sochaczewa ciągnął ku Warszawie oddział jeźdźców w bojowym ordynku. Jednolite stroje rycerzy ubranych węgierską modą w krasne żupany, kolcze pancerze i misiurki, nadto z okrągłymi kałkanami na plecach, nade wszystko zaś karny komunik zwiastowały żołnierzy elitarnych, nie zaś rozpuszczone chorągwie pospolitego ruszenia czy zbrojną kupę grasującą na gościńcu. Na czele ich jechało dwóch jeźdźców bardziej znacznych, ubranych z polską w jedwabne kontusze podbite sobolim futrem i także kołpaki z czaplimi piórami. Byli to dwaj oficerowie nadwornej chorągwi pancерnej – porucznik Jerzy Wołodyjowski i chorąży Andrzej Kołakowski.

Były pierwsze dni marca, ale przyroda trwała jeszcze głęboko w zimowym śnie. Śnieg na trakcie topniał od przygrzewającego słońca, zamieniając gościniec w błotną breję, okoliczne pola wciąż jednak białeły grubym białym puchem, drzewa straszyły czarnymi gałęziami, a powietrze nadal wypełniało

jedynie krakanie wron, kruków i gawronów, miast tak wyęsknionego śpiewu słowików czy skowronków.

Oddział wychynął z kampsoskiego boru i wjechał pośród drewniane zabudowania Woli. Wieś, do niedawna znana głównie z krajobrazu wiatraków niderlandzkich osadników, teraz zaczęła zapełniać się oberżami ze stajniami. Warszawa, świeżo podniesiona do rangi siedziby królewskiej, nie mogła z racji niewielkich swych rozmiarów, trzykroć mniejszych od stołecznego Krakowa, przyjąć wszystkich ciągnących na dwór królewski. Na tym zyskiwały okoliczne wsie takie jak Kamion, Mokotów czy właśnie Wola, po których powstały też coraz liczniejsze dworki szlacheckich posesjonatów.

– Kmita! – zawołał Wołodyjowski i w mig pojawił się przy nim jadący z tyłu wachmistrz. Porucznik był wzrostu dość wysokiego, czarnowłosy, z taką brodą. Był młody, ledwie dwudziestopięcioletni, dziwić więc mogła jego wysoka szarża, na dodatek w doborowej królewskiej chorągwi. Zdumiewać to mogło tym bardziej, że nie pochodził z wysokiego rodu, ale drobnej dość szlachty wielkopolskiej. Jednak potężna jego postura, czyny dokonane w wojnie szwedzkiej i wcześniej pod Cecorą, sława jego szabli, spokój i powaga malujące się na smukłej, surowej twarzy ozdobionej orlim nosem i szerokimi brwiami okalającymi głębokie ciemnoszare oczy, sprawiały, że żołnierze darzyli go wielkim respektem i zaufaniem.

– Na rozkaz waszej miłości – odezwał się wachmistrz służbicie. Podchodził on pod lat już niemal pięćdziesiąt, a wyglądał jeszcze starzej, bo więcej uwagi przykładał do służby niżli do wyglądu. Był więc ubrany regulaminowo, ale włosy bardziej były podobne do strzech mijanych chałup, a niestrzyżona, zwichrzona siwa broda upodabniała go do kościelnych dziadów. Był przy tym nieco mrukliwy i patrzył zazwyczaj

spod oka na swoich rozmówców, sprawiając wrażenie opryszka. Tym wszystkim tłumaczono sobie, że nigdy nie znalazł żony, chociaż to on raczej bardziej bał się kobiet niż one jego. W rzeczywistości miał złote serce, a nie posiadając bliskiej rodziny, przywiązał się był do porucznika bardziej jak ojciec czy opiekun aniżeli podwładny. Patrzył przy tym w niego jak w obraz, spełniając rozkazy, jak zbyt troskliwy rodzic spełnia zachcianki potomstwa.

– Masz tu trzos. Rozlokujesz ludzi po wsi, my z chorążym pojedziem dalej do miasta. Z nami Kalinowski, Załuski i Roman, resztę ty w pieczę bierzesz. Tam czekaj, póki ordynansu nie dostanem – zakomenderował Wołodujowski.

– Wedle rozkazu, panie poruczniku – odrzekł Kmita i odskoczył co prędzej od swego dowódcy. Widać było karność żołnierzy i ostatnie słowa porucznika bardziej już tylko porządkowi służyły niż przestrodze.

– Jeno spokoju pilnuj, żeby mi burd żadnych nie wszczykali pod bokiem królewskim. Głową ręcysz! – krzyknął ów ku oddalającemu się jeźdźcowi. Ten nie odwrócił się już nawet, tylko skinął lewą ręką.

Oddział zjechał w boczne opłotki Woli, a tymczasem Wołodujowski z Kołakowskim i trzema przybocznymi pociągnęli dalej ku miastu. Chorąży był trzy lata młodszy od swojego dowódcy i przy nim uczył się taktyki. Z czasem miał objąć prywatną chorągiew swego ojca, kasztelana ciechanowskiego, zależało mu więc, aby nic zepsuło jego opinii. Nie zawsze się to udawało, bo więcej w nim było jeszcze młodzieńczego trzpiota niż dorosłego rycerza. Także z wyglądu trudno w nim było zobaczyć surowego, ogorzałego w ustawicznych walkach i pochodach żołnierza. Był szczupły i wysoki, twarz miał bardzo młodą i jasną, pociągłą, rozjaśnioną białymi zębami

w nieustannym zawadiackim uśmiechu, z bladoniebieskimi oczyma. Wąs jego był jeszcze nadto młodzieńczy, golił się więc na gładko. Brak włosów na twarzy równoważyła blond czupryna niesforne stercząca na wszystkie strony. Tego dnia wyglądał jednak inaczej niż zwykle. Był bardzo skupiony i zamysłony, można w nim było zauważyć napięcie. Widać, nie chciał rozmawiać przy podwładnych, dlatego odezwał się dopiero, kiedy oddział zjechał na kwatery.

– Twarz masz zafrasowaną, aż patrzeć dziwno... – rozpoczął Wołodyjowski.

– Wielhorskiego pytałeś? – odpowiedział pytaniem chorąży.

– O bijatykę w oberży się nie obawiaj. Gdyby o nią chodziło, tedy rotmistrz sam by ci karę obmyślił. Do Warszawy by nas nie wzywali. Chyba, żeś tam kogo ważnego poszczerbił?

– Uchowaj Bóg! Zwykle igrce z kompanią przy gąsiorku... – zaprzeczył gorąco Kołakowski. – A że tam szabelka też i w pochwie zaswędziała, to przecie się zdarza i świętemu.

– Już tam ze świętymi w kompanię się nie pchaj, boś na razie fircyk i podwikarz...

Chorąży zarumienił się i głowę spuścił.

– Byle tylko do uszu ojcowskich nie doszło...

– Rotmistrz o sprawie wiedział i gdyby chciał, sam by ci karę obmyślił. Ale on stary i niejedyn warchoł już na niejednej wojence widział.

– Tedy o co tu chodzić może?

– Wielhorski wie tyle samo, co teraz my. Ordynans przyszedł, że mamy wziąć pół chorągwi i stawić się w Warszawie – powiedział Wołodyjowski. – Ludzi miałem roztasować pod miastem, a sam zameldować się u pana Stanisława Miłoszewskiego, osobistego sekretarza królewskiego. To wszystko, więcej ode mnie nie wydobędziesz, bo i sam nie wiem.

– Do samego króla... No, no...

Znów zapadła cisza, a Kołakowski, nie do końca uspokojony, na nowo pogрузił się w rozmyślaniach.

– Przestań się zamartwiać, Jędrak, co będzie, to będzie. Dostaniemy ordynans, to go wykonamy, nic nam do tego jaki – stwierdził Wołodyjowski. – Inny tu mamy problem, spójrz na gościniec i pomyśl, gdzie spać będziemy. Ludu tyle, że nie wiem, czy znajdziemy jaką kwaterę. Przyjdzie nam się słomą w stajniach kotentować.

– Jako to przy sejmie. Samych posłów a senatorów na kilkadziesiąt ludu, a gdzie do tego poczty, rodziny i gawiedź ciągnąca do wielkiego świata. Kiepski to czas na *hospitium* w Warszawie, ale zawsze gdzieś głowy przytulimy. Boję się bardziej, że nas gdzie ku Mołdawii pociągną, bo tam się gotować poczyna, a wtedy nas z pół roku albo i więcej nie będzie. Ja tymczasem pannę zacną poznałem, córkę starosty sochaczewskiego. Libicki łakomym okiem na nią spoglądał, a on został przy chorągwi. Po powrocie na jego, a nie własnym weselu, będę się bawił.

– Zakonotuj sobie, że jeśli panna zacna, to na ciebie poczeka, a jak nie, to ciebie niewarta. Ufaj Jędrak i się nie zamartwiaj. Na razie i tak nie wiemy, dokąd dalej nas z ekspedycją wyprawia.

Niepokój porucznika był mocno uzasadniony. Im bardziej zbliżali się bowiem do samej stolicy, tym trakt stawał się coraz bardziej zatłoczony. Prócz pieszych wędrowców ciągnęły nim chłopskie jednoosiówki i podwozy z towarami na targ albo szlacheckie kolasy, te biedniejsze i te bardziej strojne. Przede wszystkim jednak tłum cały konnych jeźdźców, ciągnących pojedynczo i w grupach.

Kolorowy ten tłum rozstępował się niekiedy przed okrzykami pacholców dworskich, co zwiastowało przejazd znacznej jakiejś osoby. Byli to bogatsi posesjonaci, którzy w sejmowym

czasie bądź to sprawiedliwości szukali, bądź też urzędy ziemskie chcieli załatwiać. Ciągnęło też jednak niemało wielkich orszaków, po kilkaset osób liczących, co oznaczało członka wielkiego magnackiego rodu. Tłum rozstępował się wtedy na boki, głównie po to, aby przyjrzeć się z bliska wielkim bogaczom i ich otoczeniu. Ono było najczęściej nad miarę obfite, bo też wielcy panowie zabierali ze sobą dwór cały. Sama już służba, kolorowo a jednolicie ubrana, wielkie czyniła wrażenie. Dziesiątki pachółków, pajuków z turecka odzianych, kozaków dworskich, pokojowców, paziów, laufrów, kredencarzy, kuchtów, masztalerzów ciągnęło się wtedy na milę albo i więcej. Niejeden z książątek koronnych, litewskich czy ukraińskich prowadził ze sobą najmarniej regiment dragoński albo i chorągiew husarską, czasem dla powagi swojej, a nieraz i jako *argumentum* ostateczne dla sprawy załatwienia. Najbardziej jednak gapie czekali na nadejście samego owego magnata, który ciągnął zaprzężoną w sześć lub osiem koni, resorowaną dworską kolebką, wyposażoną najnowszą modą w oszklone okna chroniące przed zimnem i zdobione rzeźbionymi fryzami połyskującymi w słońcu blaskiem złotej farby.

Kiedy taki orszak przechodził, ruch cały wstrzymywał się na trakcie i tłok robił się jeszcze większy, a tłum coraz bardziej zbity.

Za wielkim, zbudowanym z cegły szpitalem wojennym dla inwalidów, który jeszcze król Stefan wystawić kazał, skręcili na drogę z Bielán od kamedułów wiodącą, poruszanie się bowiem dalej ulicą Długą, zamieniającą się w tym miejscu w targ ciągnący się aż do Nowej Warszawy, było zgoła już niepodobne. Wjechali dalej w ulicę Bykową, którą niedawno jeszcze krowy przepędzano na pastwiska, a przy której piękniały teraz okazałe magnackie dwory i jaśniejące świeżym tynkiem

pałace. Od nich to trakt Senatorskim wkrótce miał być nazwany. Pierwszą była tam obszerna i bogata, choć drewniana siedziba kanclerza wielkiego, zewsząd wysokim drewnianym płotem otoczona, następnymi zaś – bliżej bramy Krakowskiej – domy kanclerza wielkiego litewskiego i biskupów gnieźnieńskich. Gdzie indziej jeszcze rozległe place były puste, ale grodzone lub zabudowane tymczasowo niewielkimi domami i budynkami gospodarczymi.

Wzdłuż wszystkich dróg prowadzących ku Warszawie widok był podobny. Status Warszawy w ostatnich trzydziestu latach zmieniał się bowiem gwałtownie. Ustanowienie jej w unii lubelskiej siedzibą sejmów, a potem też zapowiedź króla Zygmunta III przeniesienia tu dworu ze spalonego Wawelu, zmieniły całkowicie rangę nadwiślańskiego grodu. Jeszcze za czasów Zygmunta Augusta powiększono zamek, a teraz trwał wielki ruch budowlany w samym mieście. Stolica Mazowska, do niedawna jeszcze w dużej mierze drewniana, zmieniała się w oczach. Ulice wybrukowano, kamienice podwyższano i dodawano modną renesansową dekorację, a dla bezpieczeństwa zbudowano od północy basteję zwaną Barbakanem.

Mimo wszystko Warszawa nadal pozostawała najmniejszą z wielkich miast królewskich. Po trzykroć mniejsza od stołecznego Krakowa, nijak nie mogła pomieścić wielkiej liczby gości, którzy ciągnęli do królewskiego dworu, a na dodatek na obrady parlamentu. Sejm i senat zwoływane były raptem co drugi rok, ale posiedzenia ciągnęły się za to przez całe sześć niedziel. Nowa stolica, zamieszkiwana przez dzieśięć tysięcy mieszkańców, pęczniała wtedy pięcio- czy nawet sześciokrotnie. Samych posłów i senatorów było ponad trzystu, a większość z nich nadjeżdżała przeciw ze służbą złożoną nierzadko nawet ze stu czy z dwustu pachołków, służebnych,

kucharzy, stajennych, pokojowców. Była też zwykła szlachta, którą nęciła ciekawość wielkiego świata, oraz tacy, którzy chcieli wejść w łaski dworu.

Wołodzyjowski ze swoim towarzyszem w taki właśnie czas trafili. W mieście i na jego przedmieściach wrzało jak w ulu. Za dwa dni posłowie i senatorowie mieli zacząć obrady. Część z nich była już na miejscu, ale reszta ciągnęła jeszcze ze wszystkich stron Rzeczypospolitej. Ci, którzy zdążyli się już zagospodarować, zabijali wolny czas w licznych piwnicach mieszczących piwiarnie, miodosytnie i winiarnie. Tłok pogłębiały jeszcze namioty służby rozbijane w każdej części rynku i placów zarówno miejskich, jak i przedmiejskich.

Rycerze wjechali w Krakowskie Przedmieście i stanęli przed prawdziwym murem ludzkim. Musieli przebijać się przez tłum gawiedzi, młodych i starych, kobiet i dzieci, szlachty i chłopstwa. Przepychali się w nim niżsi przed wyższych, pacholeta między nogami dorosłych, nie zważając na błoto i kałuże. Nic jednak dziwnego, skoro do miasta wjeżdżał orszak pana wojewody kijowskiego, sędziwego księcia Konstantego Wasyla Ostrogskiego, jednego z największych panów Rzeczypospolitej. Powiadano o nim, że w osobnych wozach każe wozić swoją złotą zastawę dla kilkudziesięciu gości i całosrebrną wannę ze złocistymi uchwytyami, ale też że wiedzie wielbłądy z Afryki sprowadzane, a nawet że dla rozrywki własnej wielką klatkę z małpami posiada. Majątek jego zaś, rozciągnięty po krajach ukraińskich, miał być taki, że mógł sam przez lata wojska całej Rzeczypospolitej opłacać.

Mieszczanie i przyjezdna szlachta gromadzili się tłumnie, aby owe dziwy zobaczyć, przy czym nie wiadomo było, czy bardziej jako dziwo odbierali owe małpy, wielbłądy i srebrną wannę, czy postać samego księcia wyzierającego przez okna kolasy.

Żołnierze nie zważali jednak na to, tylko precyzyjnie się do bramy Krakowskiej i wjechali przez nią do Starej Warszawy, aby w Giełdzie, największym stołecznym domu zajezdnym, położonym jeszcze za Barbakanem, znaleźć noclegi. Minęli już rynek i wjechali w ulicę Nowomiejską, kiedy z jednej z piwnic wyskoczył brodaty Żyd w mycce i płóciennym fartuchu. Rozglądał się chwilę bezradnie po tłumie, który obijał się o niego jak prąd rzeczny o skałę. Szukał wiada strażnicy marszałkowskiej, ale jej nie znalazł. Kiedy zaś dostrzegł niewielki orszak pana Wołodyjowskiego, zastąpił mu drogę.

– Ratujcie panowie łycary, ratujcie! Burdę mi panowie ślachta wszczęli, ławy łamią, okna rozbijają, butelki tłuką, miody wylewają... – lamentował, klękając przed jeźdźcami.

– Z koni – zakomenderował Wołodyjowski, a jego podkomendni w mgnieniu oka zeskoczyli na ziemię i dobiegli do schodów piwnicznych, skąd dochodziły hałasy.

Rycerze wpadli do ciemnego wnętrza, które wypełnione było dymem świec mieszającym się z odorem gorzałki. W środku wrzało jak w ulu, ale nie był to zwykły gwar oberży. Kiedy ich wzrok przyzwyczaił się do mroku, zobaczyli kłęb ludzi. Musiało się tam już mocno zakurzyć w głowach, bo też każdy, nie bacząc na nic, walczył z każdym, najczęściej pięściami, choć byli tacy, co używali i zębów. Ci najbardziej zapalczywi, którym miód najmocniej rozgrzał głowy, sięgali nawet do szabel. W powietrzu latały stolki, na ścianach i głowach rozbijały się butelki i kufle.

– Nieszczęście na mój interes, ja już nie mam nic, ja jestem bankrut, ja jestem golec ostatni, ja jestem hołysz, ja z dzieckami pod kościół na żebry pójde – lamentował Żyd, drąc kościstymi dłońmi siwiejącą brodę.

Koślakowski dobył pistoletu i wystrzelił w sufit. Przyciszyło się nieco, ale nie do końca. Chorąży sięgnął po drugą króci-cę i wypalił ponownie. To otrzeźwiło większość panów braci, którzy zaskoczeni strzałami zastygli w bójce, nie wiedząc, kto się do bandoletów wziął, kto strzela do kogo, a nade wszystko, czy aby nie do nich samych. Rozglądali się przymrużo-nymi, przekrwionymi oczyma po zadymionej mrocznej sa-li i wreszcie ich wzrok padł w kierunku schodów wiodących ku wyjściu. Naprzeciw nim czerniły się lufy rusznic wymie-rzone przez śmiertelnie poważnych żołnierzy królewskich. Stali tak chwilę naprzeciw siebie, jedni z dymiącymi od go-rzałki głowami, drudzy zaś z bronią w nich wycelowaną. Pan Wołodujowski kurki w pistoletach odciągnął, ale czekał cier-pliwie, aż łby odurzone ostygną. Nie stało się to jednak od ra-zu. Jeden z opojów zbliżył się bowiem chwiejnym krokiem ku porucznikowi i stanął przed nim twarzą w twarz na pół łokcia.

– Asan rurami straszysz? Nas, starych komilitonów, któ-rzy na niejednej wojence niejedną szabelkę połamali? U wa-ści mleko pod nosem, które sobie pierwej zliż, nim starszym wejdiesz w paragon.

Tu wysunął szablę z pochwy i podjechał jej rękojeścią przed twarz Wołodujowskiego, na koniec trącając go metalem w nos. Brać szlachecka rozgrzmiała na ten znak śmiechem rubasz-nym, ale tylko na chwilę.

– Bacz waćpan, żebyś sam sobie krzywdy owym żelazem nie uczynił – powiedział spokojnie porucznik, po czym chwy-cił broń opoja, wyrwał mu ją i podsunął pod brodę, aż ten dech stracił, a głowa poszła mu w górę, ku sufitowi.

– Mości... panowie... idźcie mi... w sukurs... na pohy-bel... – jęczał szlachetka, a reszta opojów istotnie poczęła

się brać do szabel, głośno i groźnie nimi stukając i zbliżając się w kierunku Wołodyjowskiego. Ten postanowił ostatecznie przemówić im do rozsądku, nie wszczynając jednocześnie bójki.

– Spokój do kroćset! Szarzy nie widzicie?! Oficerów królewskich chcecie pod bokiem króla jegomości bić? Proszę bardzo, karczmarz zaświadczy, kto tu kogo atakował, a na niejednym z was pewnie niejedna kondemnatka wisi. Gardłem chcecie płacić? – krzyknął Wołodyjowski.

Gorące głowy ostygły wreszcie i goście szynku poczęli rozsładać się z powrotem, niezadowoleni z konfuzji, jaka ich ze strony młodzika spotkała i komentujący to z cicha, ale jednocześnie z obawą oglądając się na lufy wciąż wycelowanych w nich rusznic. W jednym tylko kącie bójka, na chwilę przerwana, teraz została wznowiona, a nawet z każdą chwilą nabierała mocy. Dwóch zaciętrzewionych szlachciców, z czerwonymi od wściekłości i gorzałki twarzami, zawzięcie próbowało usiec szablami trzeciego, wyraźnie od nich młodszego, wysokiego, barczystego, blondwłosego, z podgolonym łbem i niebieskimi oczyma. Młodzian miał lat około dwudziestu, przeciwnicy jego byli dwakroć starsi. Bronił się przed napastnikami długą drewnianą ławą, jednak widać było, że jest już u kresu sił. Nadejście żołnierzy królewskich było dla niego ostatnią deską ratunku.

– Ratunku, panowie bracia, bo mnie tych dwóch opojów zaraz tu na plastry jako szynkę pokroi... – zawołał.

Ci, widać, istotnie postawili sobie za cel poćwiartować młodzieńca jak wieprza, bo siekli wściekle szablami po ławie, aż wióry leciały. Ten zapierał się w kącie, ale miejsca za sobą miał coraz mniej, aż wreszcie znalazł się pod ścianą, spod której już nie było ucieczki.

– Zostaw mi ich, Andrzejku... Niech no rękę trochę rozruszam... – powiedział uśmiechnięty Wołodyjowski, ściągając rękawicę i rozprostowując prawą rękę.

Ruszył z wolna w stronę walczących, a Kołakowski uśmiechnął się pod nosem, wiedząc, czego może się spodziewać. Porucznik stanął za nimi i powiedział donośnie:

– Waszmościowie, może ze mną popróbujecie? Z tym tu oto gołowąsem dać nie możecie rady i bardziej na drwali czy cieśli wyglądacie, a nie na rycerzy.

Wściekli szlachcice obrócili się w stronę nowego przeciwnika. Purpurowi na twarzach, pijani miodem i złością, dyszelili głośno i patrzyli na rycerza tępym wzrokiem. Część gości karczmy ponownie powstała zza swoich stołów i poczęła się garnąć bliżej i otaczać kręgiem miejsce bijatyki.

– Waści niebiosa dowcipu widać poskąpiły. Chcesz jeszcze głowę stracić? Idź precz nauki pobierać i nie wtrącaj się, aby ci matka grobu nie musiała szukać – rzucił jeden ze szlachciców.

– Tak sobie myślę, że zaryzykuję, bo widzę, że od takich lwów najwięcej się mogę nauczyć...

– Ach, że ty pludro! Ty gołowąsie! Ty paniczyku! Popamiętasz przeprawę z panem Wojnickim! Rodzona matka cię nie pozna! – krzyknął starszy i zamachnął się szablą, chcąc sięgnąć twarzy porucznika. Wołodyjowski ustąpił, uczynił nieznamy ruch ręką, a szabla przeciwnika odfrunęła na kilka metrów.

Na to drugi, nagle wytrzeźwiały, ruszył do walki. Szable poczęły brzęczeć i połyskiwać w mdłym świetle świec. Wysoki, zwalisty szlachcic nacierał z pasją, twarz sczerwieniała mu z wysiłku, ale jego fatyga zdawała się na nic. Był tym bardziej zapalczywy, im bardziej widział postawę rycerza. Mimo

że Wołodujowski był o pół głowy niższy, zdawał się bawić fechtunkiem, a walka nie sprawiała mu żadnego wysiłku. Szabla przeciwnika zataczała wielkie łuki, tymczasem porucznik nieznacznie tylko poruszał przegubem dłoni, a broń przesuwała się o kilka, kilkanaście centymetrów. Czasami lekko wyginał ciało albo przesunął się o pół kroku. Wreszcie, kiedy szlachcic ruszył na niego po raz kolejny, użył swojej ulubionej sztuczki. Szabla zaczęła wirować w jego ręku jak wiatrak, a kiedy zetknęła się z pałaszem przeciwnika, ów rąbnął o podłogę, a cięcie porucznika dotarło do celu i ścięło prawą część wąsów na twarzy napastnika.

– No, starczy już chyba tej nauki. Masz waść rację, że sporo się nauczyłem. Myślę, że golarz by mnie na czeladnika przyjął – powiedział porucznik.

Szlachta patrzyła na ów pojedynek najpierw z napięciem, potem z rosnącym zaskoczeniem, a na ostatnie słowa Wołodujowskiego parsknęła perlistym śmiechem. Pokonany szlachcic szczerwieniał jeszcze mocniej i złapał się za twarz w miejscu, gdzie do niedawna widniał jeszcze bujny, długi wąs. Jego kompan patrzył nań oszołomiony.

Całe towarzystwo ponownie zaczęło się rozchodzić. Na środek zaś wysunął się młodzian, którego interwencja Wołodujowskiego. Poczul się już zdecydowanie pewniej – wyprostował się, żupan obciągnął, wąs poprawił, a potem rękę wyciągnął w stronę Wołodujowskiego.

– Bóg ci zapłać, panie oficerze, żeś mój młody łeb ocalił. U tych tu dwóch ręka równie ciężka jak dowcip. Ledwie z życiem uszedł za to jeno, że im kilka słów prawdy powiedział.

Wołodujowski zbył jednak młodzieńca, ręki wyciągniętej nie przyjął, tylko schował szablę z powrotem do pochwy, a potem odwrócił się do swoich podkomendnych.

– Związać mi tych trzech i odprowadzić na zamek do pana marszałka. Będą mieli szczęście, jeśli za bijatykę pod bokiem króla głową nie zaplącą – rzekł do żołnierzy, a ci sprawnie związali warcholów sznurami. Na koniec odciął więźniom sakiewki od pasów.

– A to za szkody w karczmie poczynione... – dodał, po czym rzucił mieszki w kierunku karczmarza. Młody uczestnik bójki, przed chwilą jeszcze pewny siebie, teraz znów nie krył zaskoczenia i zdenerwowania. Najbardziej zaś niezadowolony był z odebrania sakiewki.

– Co waćpan czynisz?! Toż jam ofiarą tych opojów! Uwważ waszmość z tymi więzami... Nie masz sprawiedliwości... – skarżył się.

– W łyki jako barany na rzeź nas bierzecie?! Nie wiecie, kim jestem! Z Kornackim acan zadzierasz! Odpłacisz mi za to, mości oficerze. Spotkamy się jeszcze! – odgrażał się z kolei wyższy z napastników, których żołnierze siłą wyprowadzali z zajazdu.

– A, do usług waści, chętnie się spotkam, boć jeszcze drugi wąs został ci do obcięcia, żeby równo było – zaśmiał się rycerz.

Podwładni Wołodyjowskiego wyszli z aresztantami i spokojnie zapanował w zajeździe. Karczmarz podszedł wtedy do Wołodyjowskiego i Kołakowskiego.

– Pozwólcie, szlachetni rycerze, że was ugoszczę w podzięce. Siadajcie. Zaraz każę miodu z goździkami podać – powiedział.

– Pora nam ruszać. Do Giełdy zdążamy, żeby nocleg jaki wyzebrać – odparł Kołakowski.

– Jaśni panowie, w Giełdzie ni śladu łóżka już nie masz, wszystko już wcześniej zajęte. Ale dla dobrodziejów moich u mnie izba się znajdzie, a i dla żołnierzy kąpiel przy służbie przygotuję. Konie zaraz każę służbie do stajni wprowadzić.

– Toś nam kłopot z głowy zdjął. Każ więc miodu podać, bo faktycznie od Sochaczewa jadąc, zdążyłim zmarznąć i w gębach nam zaschło, a i baraniny jakiej nie pożafuj. Siadaj jeszcze i powiedz, z czego ta burda się wszczęła.

– Ano, panie, popili się panowie ślachta, co i normalne, zdarza się nieraz – stwierdził Żyd. – Ale tu się i polityka wdała, czego ów młodzian największą był przyczyną. On to przy jego królewskiej mości optował, kiedy tamtych dwóch jaśnie panów po kilku garncach mocno na króla wyrzekało i stronnikami pana kanclerza się opowiadało. Za wolnościami płakali, że to król nasz *servorum* chce z nich zrobić, że jako chłopci w dobrach królewskich przy zaprzęgu będą chodzić. Młodzian ów więc na koniec powiedział, że skoro oni jako *servorum* w Rzeczypospolitej się czują, to że i pan Zamoyski z żony swej Barbary taką samą *servus* uczynił, więzami małżeńskimi wiążąc. A skoro wolności bezgranicznej i głupiej miłośnik, to niechaj swojej młodej żony w kajdanach nie trzyma, z czego on chętnie skorzysta. Na to owych dwóch stronników pana kanclerza do szabli przystąpiło, a potem już cała karczma na dwa obozy się podzieliła. Szczęście, że jaśnie panów rycerzy spotkałem.

– Niewyparzony język u tego młodziana. Niech teraz przed panem marszałkiem swoich talentów oratorskich używa – podsumował Wołodyjowski, po czym ziewnął szeroko. – Prowadź tymczasem, karczmarzu, do izby. Tam się rozgościm, a ty nam spyży i napitku każ donieść, bośmy drogą strudzeni.

Udali się za służebną na piętro, zjedli i wypili, i dopiero wtedy porucznik piechotę udał się na zamek, gdzie – zgodnie z ordynansem – miał się zameldować u pana Miłoszewskiego. Sekretarz przybycie chorągiewki odnotował i kazał nazajutrz stawić się oficerowi przed obliczem królewskim.

Dzień, choć już mocno dłuższy aniżeli przy kolędzie, kończył się pomału. Kiedy pan Wołodyjowski wracał na kwaterę, miasto cichło coraz bardziej, a ostatni kupcy zamykali swe stragany. Słońce chowało się za horyzontem, oświetlając ostro pomarańczowym blaskiem strome dachy kamienic, przebijając się światłem przez szeroki trakt Długiej i wąskie uliczki Starej Warszawy, wreszcie rozlewając na szerokich wodach Wisły. Jaskrawy pomarańcz obejmował całą rzekę, a przelewające się leniwie fale sprawiały, że jaśniejsze i ciemniejsze smugi niemal tańczyły po wodzie.

Z okna zamkowego przyglądał się temu zjawisku dość młody jeszcze mężczyzna, wysoki, pozy wyniosłej, o bystrych i przenikliwych oczach. Ubrany był hiszpańską modą w czarny kitlik z białą krezą i także spodnie. Twarz zdobiła również hiszpańska cienka bródka i wąski spiczasty wąs. W postaci tej znać było dostojeństwo wielkiego pana, który jednak więcej zaznał zmartwień niż spokojnego bogatego życia. Teraz także dręczyły go troski. Patrzył w przestrzeń przed siebie nieobecny wzrokiem, nie dostrzegając bajecznego widowiska zmierzającego dnia. Widać, pochłaniały go zupełnie inne myśli. Zatopiony był w nich mocno, ale ocknął się, gdy usłyszał głos drugiego mężczyzny dobiegający z głębi dość mrocznej komnaty.

– Ryzyko jest duże, wasza królewska mość. Karol nie będzie czekać, a zanim siły zbierzem, długie miesiące mogą upłynąć – stwierdził ów człowiek, siwy już całkiem i mocno przygarbiony, z brodą rzadką a postrzępioną, ubrany w czarny jezuicki habit.

Zakonnikiem był ojciec Piotr Skarga, a jego rozmówcą sam władca największego państwa Europy, potężnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów – Zygmunt III Waza. Nie wyglądał

na szczęśliwego monarchę. Mimo młodego wieku wiele musiał znieść w życiu. Już jako dziecko dzielił z własnymi rodzicami trudy więzienia. Potem z kolei, jako król Polski i Szwecji, nie czuł się w żadnym z tych krajów akceptowany i wspierany. W dalekich skandynawskich krainach przeciw jego prawowitej władzy wystąpił stryj Karol, zwany Sudermańskim. W Rzeczypospolitej zaś był oskarżany przez opozycję magnacką o dążenie do sprzedaży tronu, o próby wprowadzenia władzy absolutnej, o łamanie praw szlachty i innowierców. On jednak nie poddawał się, dążył do wzmocnienia państwa i odzyskania zamorskiej szwedzkiej dziedziny. Tak było i teraz, kiedy nowy pomysł przyszedł mu do głowy.

– Wiem, Piotrze, i ostatnia to rzecz, abym miał ojczyznę na szwank narażać. Widzisz zali inny sposób, aby sejm do stworzenia silnej armii przymusić? Sami chcieli Estonii, a jam im ją przyobiecał. Szansa była, aby mocarstwo wielkie stworzyć, państwu Habsburgów równe, albo i większe, ale stryj mój, zdrajca, miłosierdzie moje, a może i łatwowierność wykorzystał. Teraz na samej Rzeczypospolitej skupić nam się trzeba. Państwo rozłazi się jako stary kozuch, panowie zagarniają dla siebie coraz to nowe ziemie, a władza ich już niemal równa królewskiej. Szlachcie zaćmę na oczy rzucili, że ta nie odróżnia wolności od bezprawia i nieładu. Odpowiedzialności żadnej. Wojska ledwie kilka tysięcy na kraj wielki i granice rozciągnięte. Sąsiedzi długo czekać nie będą, bo wielkiego a nieruchawego zwierza łatwiej upolować niż małego, drapieżnego wilka. Muszę szlachtę przymusić do działania – ja im dam Estonię, a oni muszą mi dać armię, aby ją obronić.

– Chcesz ich rzucić na głęboką wodę, żeby pływania nauczyć. Co będzie, jeśli nie dadzą rady albo ich fala zaleje? Narod możesz utopić celu, nie osiągając...

– Już zdecydowałem! Przy tym też wszystkiego przypadkowi nie zostawiam i pewien pomysł mam...

– Jaki?

– Dowiesz się, Piotrze, wkrótce...

Kaznodzieja nie poddawał się:

– Kanclerz Zamoyski będzie szlachtę znowu buntował. Małóż to już kłamstwami ich karmił, zjazdy zwoływał, inkwizycję sejmową nad tobą sprawował? Tak i teraz pewnie z ciebie gwałtownika uczyni, który jeno dla osobistych ambicji dobro Rzeczypospolitej naraża.

Ojciec Piotr Skarga był najbliższym współpracownikiem i doradcą króla, jego mózgiem i sumieniem. Teraz jednak monarcha był wyjątkowo zdecydowany i nie chciał słuchać ostróg ostrożnego jezuitę.

– Furda z tym. Każdy pretekst będzie dobry, żeby mnie, gorliwego katolika, ten kacierz z urodzenia od czci odsądzał.

– Więc ty już naprawdę zdecydowałeś... – zaszepił się Skarga i zawiesił na chwilę głos. Potem zaś zapytał: – Prędko to się stanie?

– Jutro się dokona na sejmie. Zwołałem jeszcze możliwych z kanclerzem na czele, żeby ich do moich racji przekonać. W to, że się uda, nie wierzę, ale spróbować muszę. Da za to Bóg, że w braci szlacheckiej serca zapłoną, czasy Grunwaldu czy Kazimierzowego Prus przyłączenia w pamięci odżyją, a nam armię równą Władysławowej potęgi stworzyć pozwolą. To będzie fundament reform i budowy potężniejszej jeszcze Rzeczypospolitej – zakończył z pasją Zygmunt i wpatrzył się ponownie w dal.

Ostatnie słowa potomka Jagiellonów padały już w głębokim mroku, rozjaśnianym tylko ogniem szczap w kominku. Za oknem z Wisły zeszły już całkiem wesołe blaski słoneczne, a czarne fale, popędzone nagłymi podmuchami wiatru, gnały ku północy.